

Krzysztof Wołodźko: Po stronie przegrywających

Być może cały mit „Solidarności” zamyka się dziś w odpowiedzi na proste pytanie: po czyjej jesteś stronie? Trzeba stać po stronie świata pracy, gdyż świat kapitału ma dość pieniędzy i możliwości, by się o własne sprawy zatroszczyć. Ocalimy mit Solidarności, stojąc po stronie przegrywających – przeczytaj tekst Krzysztofa Wołodźko z „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Solidarność. Polski idiom.

Zastanawiam się niekiedy, co dają solenne zapewnienia składane w sierpniowo-solidarnościowych okolicznościowych tekstach, że wciąż potrzebujemy mitów i treści pierwszej „Solidarności”. Wszak realne doświadczenie społeczne dotyczące współczesnych relacji między światem pracy a kapitału, między treścią gospodarki a przyjętymi wzorcami kulturowymi, między mitem i po części praxis zdecydowanie egalitarnej pierwszej „Solidarności” a obyczajami i nawykami współczesnej rozwarstwionej polskośći nie pozostawiają złudzeń: nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. A przecież sam składam podobne zapewnienia: nadzieja wbrew nadziei? Czy są po temu racjonalne przesłanki?

Pierwsza „Solidarność” nie jest dziś nauczycielką życia, ponieważ tamto życie już nie istnieje: ani w jemu właściwych formach instytucjonalno-opresyjnych („pozwólcie no, obywatelu, na moment”), ani w większości struktur i procesów nieformalnie-społecznych („gdzie

się podziały tamte prywatki?”). Wiele doświadczeń jest nie do powtórzenia również ze względu na szereg miękkich powiązań budujących/determinujących rzeczywistość. Zwróćmy uwagę na jeden tylko fakt. Maciej Mieziań, krakowski historyk od lat związany z Nową Hutą, opowiadał mi swego czasu o fenomenie tamtejszych wielkoprzemysłowych protestów z lat 80. XX w.: „W stanie wojennym o roli Huty imienia Lenina zdecydowało to, że kombinat miał tylko jedno wejście i wyjście. Pochód tworzył się w naturalny sposób po wyjściu każdej zmiany. Huta pracowała w systemie czterobrygadowym, co 8 godzin parę tysięcy hutników wychodziło jedną bramą z pracy do miasta; wystarczyło rozwinąć transparent, rzucić ulotki, krzyknąć hasło i robił się naturalny pochód. Jeśli były zamieszki, to po ośmiu godzinach tłumienia wychodziła następna zmiana, która się włączała” („Trybuna”, „Reagan pogonił Lenina”, nr 151 (4660), 30 czerwca 2005 r.).

Przy okazji. Niewykluczone, że w życiu publicznym pamięć o „Solidarności” podtrzymują ludzie związani z nią sentymentami i nienawiściami, a nie etyczną potrzebą, powiązaną z solidarystycznym rozumieniem relacji społeczno-gospodarczych: biograficzna stała każe im wracać czy to do „świąt obolałej dupy” (wedle określenia Jana Krzysztof Kelusa), czy to do niezobowiązującej do niczego poza problemami gastrycznymi przypomnikowo-restauracyjnej celebry. Idąc za ich poleceniami znudzeni tamtą historią urzędnicy młodszych pokoleń, grzecznie wypełniający polecenia służbowe (przygotować, zorganizować, rozdać medale, posadzić przy stole), podpisują umowy na catering, wynajem sali i organizują różne przypisane okolicznościom podniosłości. Są medale, jest „ochłaj i wyżerka”, może jakaś wystawa z blaknącymi na zdjęciach nieopisanymi bohaterami drugiego, trzeciego i entego planu, a bohaterem – w zależności od tego kto i dlaczego – jest albo Wałęsa, albo Gwiazdowie.

Tak naprawdę dobrze dziś widać, że historia pierwszej „Solidarności” nie cieszy się nawet krztyną tej popularności, jaką przy aktywnym udziale centroprawicy i neoendecji znalazła w oczach społeczeństwa pewna grupa uczestników powojennego podziemia antykomunistycznego. Jestem to w stanie zrozumieć: wydobyta z cienia historia, która dobrze komponuje się z kultem broni palnej, fizycznej tężyzny i niezbędnej w Polsce dawki martyrologii sprzedaje się lepiej niż wypowiedany cynicznie albo naiwnie refrenik: „nie zapominajmy o ideałach Sierpnia”. Nikt o zdrowych zmysłach nie wierzy chyba, że urządzone w interesie zasobnych wielkowiejsko-kapitałowo-inteligenckich elit polskie państwo w jego współczesnej formie ma coś wspólnego z egalitarną, propracowniczą, ze swojej historycznej natury zdecydowanie antyliberalną czy wprost antykapitalistyczną pierwszą „Solidarnością”.

Fenomen ruchu/związku u jego źródeł polegał również na tym, że odnalazł on dla siebie przestrzeń w nader niesprzyjających warunkach geopolitycznych i ustrojowych. Sprzyjał jej za to fakt, że władza polityczna, która legitymizowała się swoim rewolucyjno-robotniczym charakterem, i która de facto była największym pracodawcą w ówczesnym centralistycznym systemie ekonomicznym, płaciła coraz większą cenę za tłumienie pracowniczych wystąpień. W latach 80 XX w. Polacy nie tylko cieszyli się z wyboru Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową; otóż niemal wszyscy, czy tego chcieli czy nie chcieli, mentalnie byli socjalistami: sprawiły to lata edukacji, propagandy, form codziennego życia. W „Człowieka z żelaza” Andrzeja Wajdy wpisana jest wymowna scena dokumentalna, bodaj z filmu „Robotnicy 80”. Otóż kobieta w średnim wieku mówi, że władza najwyraźniej chciałaby utrzymać ludzi w ciemnocie, ale przecież ta sama władza pozwoliła robotnikom skończyć szkoły: robotnicy skończyli szkoły i wiedzą, co im

się od socjalistycznego państwa należy. Podobnie dziś prekariacka młodzież idzie do szkoły i bardzo szybko się orientuje, że jest samotna w wielkim wyścigu szczurów. I niemal wszyscy stoją odwrócenii.

To truizm: ówczesny system wychował własnych grabarzy. Poważniejszy kłopot w tym, że transformacja pogruchoła wielu z tych grabarzy kości, a „Solidarność” zamieniła się centroprawicową organizacją parapolityczną, która legitymizowała zarówno terapię szokową, jak np. cztery reformy Akcji Wyborczej „Solidarność”. Solidna praca legendarnego związku nie tylko na własny brak wiarygodności to fenomen, który po części opisał już David Ost w „Kłęsce Solidarności”, ale temat zdecydowanie zasługuje na prezentację w skali nadchodzących trzech pełnych dekad III Rzeczypospolitej. Nawet jeżeli przyjmujemy, że obecny szef „Solidarności” Piotr Duda wprowadził nieco inny, mniej polityczny, a bardziej prozwiązkowy kurs; nawet jeżeli w OPZZ wiedzą już dziś, że trzeba się otworzyć na młodych pracowników, którzy harują tak, jakby „prawa pracy nie było”, to wciąż dobrze widać, jak bardzo duże organizacje związkowe uwikłane są w swoje historyczne afiliacje.

Notabene, w swojej wcześniejszej pracy „Solidarność a polityka antypolityki” Ost zwrócił uwagę na fenomen, który często umyka naszej uwadze. Stan wojenny doprowadził do głębokiego przeobrażenia w pojmowaniu „Solidarności” jako ruchu społecznego. O ile do 13 grudnia 1981 roku NSZZ „Solidarność” był właśnie związkiem zawodowym, skonfederowanym ale osadzonym w jasno określonych, na ogół wielkoprzemysłowych strukturach skupiających klasę robotniczą i inteligencję techniczną, o tyle później „Solidarność” stała się „leśną partyzantką rozproszonych sił”, bytem proteuszowym. Każda inicjatywa, środowisko, postać, machanie flagą, głoszenie wszelkich

haseł podciągano pod „Solidarność”, która w latach 80. XX w. stała się właściwie synonimem demokratycznej opozycji. Były z tego pewne korzyści, pewna elastyczność, która umożliwia dalszy opór, ale największym problemem stało się absolutne niemal rozproszenie i rozmycie solidarnościowej tożsamości: tym bardziej że w 1988 roku z okołosolidarnościowego kapitału kulturowego i finansowego zaczęły korzystać młodsze pokolenia opozycji, często o wiele już bardziej konserwatywne i liberalne od starszych o dekadę czy dwie koleżanek i kolegów.

I tak młoda polska inteligencja na plecach starszych od siebie robotnic i robotników w czas przepoczwarczenia ustrojowego zaczęła błyskawicznie wchodzić do redakcji i instytucji, dochodzić do pieniędzy i możliwości. Tyle że na odchodne rzuciła klasie robotniczej zupełnie inne słowo niżli: „dziękujemy”. Cóż, widocznie każda #dobrazmiana ma swoje ofiary wliczone w koszt (owszem, to sarkazm).

Projekt powtórzenia pierwszej „Solidarności” jest głęboko ahistoryczny. Przynajmniej w literalnym, czyli strukturalnym sensie. Jeżeli chce ktoś pierwszej „Solidarności” to znaczy, że pragnie restauracji socjalizmu, w szerokim tego słowa znaczeniu. Jeżeli miałyby to być model skandynawski, to nie miałbym nic przeciwko. Ale xero-pomysły na rzeczywistość to zawsze fantasmagoria, niezależnie od tego czy miałyby to być xero-etatyzm czy xero-wolnorynkizm. Ta „głęboka niemożność” powrotu do źródeł wiąże się również z faktem, że Polska, kolebka niezależnych związków zawodowych po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, należy dziś do jednego z najsłabiej uzwiązkowionych krajów w skali całej Europy.

Jest jeszcze jedna ważna sprawa, która dobrze pokazuje, w jak różnym miejscu jesteśmy. Między 11 a 14 września 2013 w Warszawie odbyła się pierwsza od wielu lat akcja protestacyjna związków zawodowych, zorganizowana pod hasłem: „Dość lekceważenia społeczeństwa”. W jej trakcie odbywały się także różnorakie debaty eksperckie, które od większości podobnych imprez różniło to, że prezentowały propracowniczy i prozwiązkowy, a nie np. probanksterski i antyzwiązkowy punkt widzenia lokalnej i globalnej rzeczywistości. Jedną z tych dyskusji dotyczyła kształtu dialogu społecznego oraz kondycji związków zawodowych w Polsce. Wśród rozmówców był prof. Juliusz Gardawski, socjolog gospodarki, dyrektor Instytutu Filozofii, Socjologii i Socjologii Ekonomicznej Szkoły Głównej Handlowej, który zwrócił uwagę, że dopiero od niedawna związki zawodowe zaczęły występować w imieniu osób zatrudnionych na umowach cywilnoprawnych.

Przypomnę, że w naszym kraju ponad dwa miliony pracowników i pracowników utrzymuje się z zajęć wykonywanych na podstawie umów cywilnoprawnych (o dzieło i zlecenie) lub pracuje na samozatrudnieniu. Główny Urząd Statystyczny podaje z kolei, że ponad 80 proc. osób zatrudnionych w ten sposób przyjmuje niekorzystne dla siebie warunki wbrew sobie, ulegając różnorakiej presji, która stanowi wypadkową rodzimej „kultury zatrudnienia”, sytuacji na rynku pracy, własnej/środowiskowej biografii kulturowo-ekonomicznej i mieszkaniowej.

Nieco później przeprowadziłem dla „Nowego Obywatela” obszerny wywiad z prof. Gardawskim, który stwierdzał w nim jasno: „W międzynarodowym podziale pracy Polska zajmuje pozycję kraju półperyferyjnego. Jesteśmy państwem na dorobku, a wśród krajów Europy Centralnej, które wyzwoliły się z autorytarne socjalizmu,

zajmujemy miejsce środkowe pod względem rozwoju ekonomicznego. (...) My jesteśmy krajem, w którym transnarodowe korporacje mogą bardzo dużo, ale nie wszystko. W niektórych sieciach handlu wielkopowierzchniowego, mimo oporu menedżmentu, powstały związki zawodowe, organizowano strajki. Z drugiej jednak strony stopień swobody kapitału zagranicznego jest znacznie większy niż w krajach starej demokracji. Robiliśmy niedawno na zlecenie »Solidarności« badania, z których wynika, że kapitał szwedzki u siebie jest niezwykle otwarty na związki zawodowe (pełnią tam one zresztą inne funkcje niż u nas), a w Polsce wprowadza rozwiązania nieprzyjazne związkom zawodowym. Korporacje anglosaskie są tradycyjnie niechętne związkom, lecz okazało się, że także część korporacji niemieckich naśladuje u nas pod tym względem Amerykanów czy Brytyjczyków”.

A jak w ocenie profesora wyglądają relacje rodzimego biznesu ze związkami zawodowymi? Naukowiec przypominał, że przez długi czas środowisko prywatnych przedsiębiorców w Polsce składało się z ludzi, którzy byli wychodźcami z dużych przedsiębiorstw państwowych. To byli ludzie, którzy rekrutowali się z szeregów zastępców dyrektorów, szefów działów, kierowników produkcji: „w początkach kształtowania nowej polskiej klasy przedsiębiorców była ona nastawiona mocno antyzwiązkowo. Ten świat bardzo się zmienił, nomenklaturowi przedsiębiorcy niższego szczebla w większości już odeszli z czynnego biznesu”.

Jak przedstawiała się sytuacja w ostatnich latach? Wedle istniejących badań około 18,9 proc. przedsiębiorców prywatnych uznaje, że związki powinny działać we wszystkich przedsiębiorstwach, niezależnie od formy własności, 25,7 proc. z nich twierdzi, że tylko w publicznych, a co trzeci przedsiębiorca deklaruje, że związki w ogóle nie powinny działać w firmach (34,9 proc.). Prof. Gardawski zwraca uwagę, że właściciele

zakładów o bardzo złej sytuacji częściej widzą potrzebę działania związków zawodowych niż w tych o dobrej sytuacji: „może to być sygnał, że przy kiepskiej kondycji firm szwankuje komunikacja z pracownikami i wówczas okazuje się, iż mediacja związkowa byłaby przydatna”.

Powyższe szczegółowe dane i ekspercka analiza pokazują, że związki zawodowe mają dziś w Polsce pod górkę. Jeżeli jednak ktoś chciałby zobaczyć z bliska realia pracy związkowej w prywatnych firmach w III Rzeczypospolitej, szczególnie tam, gdzie związkowcy rzeczywiście walczą i nie dali zamalować się na żółto, to polecam z kolei wywiad z Justyną Chrapowicz, przewodniczącą organizacji zakładowej NSZZ „Solidarność” w Lidlu, zwolnioną z pracy za działalność związkową. Na zachętę drobny fragment: „bezpośrednim powodem zwolnienia nas było wszczęcie sporu zbiorowego i domaganie się utworzenia Funduszu Socjalnego. Firma zatrudniająca 12 tys. pracowników nie odprowadza składek na Zakładowy Fundusz Świadczeń Socjalnych. Nie jesteśmy »roszczeniowcami«, wbrew temu, co się o nas często mówi. Fundusz socjalny w takiej firmie powinien być normą. Zamiast jednak zgodnie z prawem rozpocząć niezwłoczne negocjacje prowadzące do porozumienia, pracodawca wręczył nam zwolnienia dyscyplinarne”.

W jaki sposób i dlaczego strajkowali związkowcy z „Lidla”? Raz jeszcze Chrapowicz: „W moim miejscu pracy w Łodzi kilka tygodni temu organizowaliśmy akcję płacenia jednogroszówkami przy kasach, aby zablokować ruch i zwrócić uwagę na złe warunki pracy w Lidlu. W sklepach rosną obroty, ale liczba pracowników zmniejszyła się w porównaniu z sytuacją sprzed kilku lat. W efekcie musimy pracować dłużej, dostajemy często nadgodziny. Ponadto chociaż pracujemy ciężko i długo, to wielu pracowników jest zatrudnionych na niepełny

etat. Zbyt mała liczba zatrudnionych jest największym naszym problemem, bo z tym wiążą się inne kwestie. Choćby niemożność wzięcia urlopu w odpowiednim czasie właśnie dlatego, że pracowników jest za mało i każdy jest potrzebny”.

Co zatem dziś oznacza pamięć o ideałach Sierpnia? Sądzę, że przede wszystkim wierność światu pracy, znajomość jego współczesnej kondycji, bolączek, perspektyw i aspiracji. Bardzo ważna rzecz: pierwsza „Solidarność” nie jest własnością obecnej „Solidarności”. Dzisiejszą pierwszą „Solidarnością” jest chociażby Ogólnopolski Związek Zawodowy Inicjatywa Pracownicza, który walczy o interesy pracujących ubogich, kobiet i mężczyzn na umowach śmieciowych, troszczy się o sprzątaczkę i ochroniarzy zatrudnianych na fatalnych warunkach przez prywatne firmy związane kontraktami z publicznymi instytucjami. OZZ IP, podobnie jak pierwsza „Solidarność”, jest ruchem który gromadzi zarówno słabo opłacanych i wyzyskiwanych pracowników najemnych, jak i młodą zaangażowaną inteligencję (szczerze polecam tekst „Posprzątać wyzysk”, autorstwa Olgi Baszuro z Akademii Sztuki w Szczecinie).

Być może cały mit „Solidarności” zamyka się dziś w odpowiedzi na proste pytanie: po czyjej jesteś stronie? To najprostsze i zawsze najlepiej działające: „sprawdzam” w sporach ideowych i w działaniu. Wbrew oklepanym frazesom dużej części centroprawicy, która nierzadko doszła do wpływów na plecach robotnic i robotników z czasów pierwszej „Solidarności”, związki zawodowe są dziś w Polsce na tyle słabe, a interesy pracownicze na tyle lekceważone, że jest tylko jedna dobra odpowiedź: trzeba stać po stronie świata pracy, gdyż świat kapitału ma dość pieniędzy i możliwości, by się o własne sprawy zatroszczyć. Ocalimy mit Solidarności, stojąc po stronie

przegrywających. A przecież w naszych warunkach wcale liczna ich rzesza rekrutuje się nie tylko spośród najniższych warstw społecznych, ale także aspirujących do nieudanego projektu pod tytułem: polska klasa średnia.